

### 3

## AL Leitmeritz

Zimą, 10 lutego 1945 roku, wagony odkryte, zaczął padać śnieg. Wyjechaliśmy w kierunku Wrocławia, do którego dotarliśmy na drugi dzień w godzinach przedpołudniowych. Tam na stacji eskorta otrzymała ciepły posiłek, my już byliśmy trzeci dzień bez łyżki ciepłej strawy, do picia również nic nie dostaliśmy. Przez resztę dnia i przez noc dojechaliśmy do Plauen.

Tu nastąpił dłuższy postój. Część naszego transportu odłączono z wagonami i pojechał w innym kierunku, a my pozostaliśmy czasowo. Wagon przed naszym został odłączony. W wagonie tym pojechali koledzy, z którymi mieliśmy się trzymać razem z uwagi na nasze powiązania organizacyjne i przyjacielskie, a więc pojechał Luda, Henryk Gabryś, Biesiadecki, Gienek Kuziora. Zostałem sam bez kolegów i znajomych. Po chwili podstawiono drugi pociąg taki sam i w pośpiechu kazano nam się przeładować do niego.

Przy każdym wagonie stanęło po dwóch SS i kto tylko nie mógł szybko zeskoczyć z wagonu i przejść do drugiego, a po drodze upadł, to tych z miejsca zabijano strzałem pistoletowym.

Było to świadome morderstwo powodowane zemstą z powodu przegranej wojny. Nie mogło już być wtedy ani jednego fanatyka, któryby wierzył, że tę wojnę Niemcy mogą jeszcze wygrać. Walki toczyły się już w tym czasie na terenach byłej Trzeciej Rzeszy. Rozpoczął się exodus ludności niemieckiej, taki sam jaki przeżywała ludność polska we wrześniu 1939 r., z tą różnicą, że to był okres zimowy. No i mieli powody, żeby nie spotkać się z armiami wkra- czającymi na ich tereny.

Po okropnościach przeżyć obozowych niszczyć te resztki życia, które przetrwały gehen- nę transportu, to było bestialstwo nie do wybaczenia, niejeden wtedy przyrzekał, że jak prze- żyje dołoży starań, by po takim narodzie, który wydał tylu i takich morderców, nie pozostało przy życiu żadne pokolenie Niemców.

Na drugi dzień rano pociąg, do którego nas przeładowano, zatrzymał się na niedużej stacji kolejowej w miejscowości górzystej. Nazwy tej stacji nie pamiętam, w każdym razie

około 8 km od miasta Leitmeritz, do którego zaprowadzono nas na piechotę w kolumnie. Na stacji pozostały 3 wagony trupów zabitych w drodze.

Było to 13 lutego 1945 r., wprowadzono nas do obozu utworzonego z byłych koszar wojskowych kawalerii i ulokowano w stajniach, w których poprzednio przetrzymywano konie, oraz w krytej ujeżdżalni. Zabudowania te nie były przystosowane do zamieszkania przez ludzi, ale pomysłowość niemiecka uznała, że są to warunki w sam raz dla tej kategorii ludzi. W stajniach nie było żadnej podłogi, tylko ubite klepisko, taki luksus jak podłoga więźniom nie jest potrzebny.

Ponieważ stajnie te były wysokie, na 4 poziomy podzielono więc wysokość, a w środku przechodził korytarz, no i kwatery zapewnione. Takimi sprawami jak dostarczenie sienników lub chociażby jakiej słomy na podściółkę nikt się nie zajmował. Część z nas przyniosła ze sobą koce, jeszcze z obozu w Gross-Rosen. Większość koców nie miała, ponieważ w czasie drogi nie mogąc iść pozbywano się i tego.

Stwierdzenie tych warunków zrobiło na mnie przygnębiające wrażenie. Przeżyć tyle męki i teraz kiedy wojna nieuchronnie zbliża się ku końcowi i żyło się tą nadzieją doczekania końca wojny i wolności, to w tych warunkach trudno będzie jednak doczekać się tego końca.

Wyrwany z grona przyjaciół, w nowym środowisku poczułem się bardzo nieswojo. Przybyło nas około 1500 osób, ale to wszystko tak wymieszane, że nie wiadomo kto jest ze znajomych. Spotkałem jednak kolegów z naszego komanda Zimmerleute, a mianowicie Wojciecha Szymańskiego z Pleszewa, który przybył do Gross-Rosen drugim transportem po pierwszej setce Niemców i miał numer obozowy 303.

Zajęliśmy miejsce obok siebie i postanowiliśmy trzymać się do końca. Znalazł się tam również kolega z naszego transportu z Tarnowa, kolega Stefan Baran, a więc poczułem się już rażniej. Zaraz jednak na początek spotkało nas niepowodzenie, a mianowicie przed wyjazdem z Gross-Rosen likwidowano nasze konta pieniężne i wysprzedawano kantynę, można więc było wtedy w Gross-Rosen zakupić papierosów „Juno” nawet po parę tysięcy.

Po spotkaniu z kolegą Szymańskim nasze zapasy papierosów złączyliśmy razem (z myślą o przyszłości, ponieważ tam papierosów nie było wcale) i włożyliśmy do teczki, a było tego 800 sztuk, a więc olbrzymi majątek. Umieściliśmy teczkę z papierosami obok siebie, zaczęliśmy się zastanawiać, jak tu działać, by w tych warunkach przetrwać, jaką podjąć pracę, czy raczej uniknąć pracy, ponieważ zdążyliśmy się zorientować, że w obozie tym niemiecka organizacja, jak popularnie się mówi, wzięta w łeb, że panuje tu kompletny bałagan, co również nie jest zachwycające. Ponieważ żadna jakaś twórcza koncepcja nie nasuwała się,

postanowiliśmy zapalić papierosa, no i wtedy okazało się, że podczas naszego planowania potrafił jakiś spryciarz ukraść naszą teczkę z papierosami. Była to strata niepowetowana, ale zajęcie się nami i przeganianie z miejsca na miejsce nie pozwoliło myśleć o stracie. To wszystko działo się w dniu przybycia do nowego obozu w Leitmeritz.

Obóz w Leitmeritz\* został zorganizowany już pod koniec wojny, w warunkach prowizorycznych, na potrzeby przemysłu zbrojeniowego. Około 2 km od tej miejscowości, w stoku góry wydrążone zostały olbrzymie tunele, tak że mógł wjeżdżać pociąg, i w tych tunelach prowadzona była produkcja czołgów. Więźniowie pracowali tam przy maszynach, jak też i przy drążeniu i uzyskiwaniu dalszych powierzchni produkcyjnych.

Praca w takim tunelu i przygotowanie go do celów produkcyjnych wymagało wielkiego wysiłku i powodowało bardzo wiele wypadków. Góra ta, wysoka do 800 m, na wysokości budowy tunelu utworzona była z warstwy łupku. Materiał ten nie był zbyt trudny do urobku, lecz bardzo niebezpieczny, ponieważ odrywał się od sufitu i ścian i powodował częste wypadki, toteż korytarze musiały być betonowane.

Praca w tych podziemiach była nadzwyczaj ciężka, ponieważ brak było świeżego powietrza. Rozpoczęto dopiero budowę szybu od powierzchni góry, celem doprowadzenia wentylacji. Zakłady ulokowane w podziemiach góry zwane były Elsabe i im podporządkowany był utworzony obóz. Jak wynikało z rozmiarów rozpoczętych prac, to Niemcy mieli zaplanowane olbrzymie przedsięwzięcie w zakresie rozbudowy przemysłu pod ziemią. Doprowadzenie jednak budowy fabryki pod ziemią do warunków umożliwiających produkcję wymagało jeszcze bardzo dużo pracy, no i jakiegoś czasu.

Jeżeli chodzi o pracę, to z tym problemu nie mieli, tysiące niewolników szło codziennie do pracy w dzień i w nocy. Gorzej było z czasem, ponieważ zajęte imperium kurczyło się z dnia na dzień. Armia Radziecka od wschodu i południa zbliżała się w szybkim tempie. Trwał więc wyścig z czasem. Coraz więcej uzbrojenia zostawiała ta niezwyciężona armia na polach bitwy, a coraz mniejsze możliwości były na uzupełnianie. Przemysł niszczony z powietrza, zajmowane obszary na zachodzie pozbawiały możliwości nowych uzupełnień. W tej sytuacji pośpiech był konieczny. Tego rozumowania nie podzielali natomiast więźniowie, których interes był sprzeczny z interesem ciemniejszych.

---

\* W czeskich Litomierzycach (niem. Leitmeritz), w latach 1944-1945 funkcjonował największy podobóz obozu koncentracyjnego Flossenbürg. Więźniowie pracowali przy budowie, w pobliskim masywie Bidnice, podziemnej fabryki zbrojeniowej, której nadano kryptonim „Richard”, linie produkcyjne były obsługiwane przez wybranych wykwalifikowanych więźniów, których oddział był znany jako Elsabe AG. Szacuje się, że przez rok funkcjonowania obozu Leitmeritz przeszło przez niego ogółem około 18 000 więźniów, a zmarło ok. 4500 [przyyp. red.].

W zasadzie to produkcja już była prowadzona, ponieważ wiele korytarzy było wykończonych i były poustawiane maszyny, doprowadzona siła i światło oraz woda i produkcja szła. Transport materiałów i wyrobów gotowych odbywał się jednym wejściem do tunelu, ponieważ drugiego nie było. Nie było również zainstalowanej wentylacji wyciągowej, dopiero rozpoczęto wiercenie szybu. Każde uderzenie bomby lub zaminowanie tunelu groziło śmiercią pozostałych wewnątrz.

Dlatego też w piorunującym tempie drążono drugi tunel, celem właściwego transportu przemysłowego, jak też i bezpieczeństwa. Był to już jednak rok 1945 i organizacja niemiecka przestała funkcjonować. W nocy słychać było detonacje bomb spadających na miasta niemieckie.

W obozie zostało zgromadzonych kilka tysięcy więźniów, w katastrofalnych warunkach. Nie było co jeść, nie było gdzie spać, bielizna nieprana, nikt nie wydawał ani ubrania, ani obuwia. Apele odbywały się, ale widać już było rozprężenie i niedowład organizacyjny. Stany liczbowe nie zgadzały się, ale już nie stało się na apelu całymi godzinami, aż stan zostanie zapięty. Spanie odbywało się na zmianę, ponieważ nie było na tyle miejsc; zresztą jedni pracują, drudzy w tym czasie odpoczywają.

Podczas gdy w Gross-Rosen każdy więzień miał wyznaczone miejsce pracy i tylko wtedy nie stawiał się na zbiórkę do pracy po apelu, jeżeli był chory lub już nie żył, to tu, w tym bałaganie, większość nie miała stałego przydziału i albo stawali tam, gdzie uważali, albo usiłowali się wymigać od pracy i kryli się po blokach. Powstawał więc bałagan, bicie, przemieszczanie, krzyk, no i przy tym ofiary.

Najbardziej więźniowie bali się pracy przy budowie tunelu, była to praca mordercza, no i niebezpieczna, ginęli tam przywaleni odrywającymi się skałami i od bicia. Przeżyłem najgorsze warunki w Gross-Rosen, przeżyłem ewakuację, nie miałem ochoty ginąć, kiedy koniec wojny był już widoczny. A jednak w Leitmeritz już zacząłem wątpić, czy jeszcze doczekam wyzwolenia.

Warunki jakie tam panowały wykończyły wielu więźniów, którzy przetrwali piekło lat 1941–1945 w Gross-Rosen, głód zbierał żniwo coraz większe. W obozie tym było wielu Francuzów, warunki jakie tam były szczególnie dawały się im we znaki i ginęli w zastraszający sposób. Zginęło wielu więźniów, którzy od 1940 roku przebywali w obozie, przeżyli tyle mąk i kiedy wyzwolenie było już blisko nie doczekali. Tak zginął Wojciech Szymański z Pleszewa, który miał w Gross-Rosen numer 303, a przybył do Gross-Rosen z Flossenbürga. Wycieńczo-

ny poszedł na rewir, ponieważ otworzyły mu się rany na nogach i tam nie uratował go nawet Czerwony Krzyż. Po wyzwoleniu pozostał na ziemi czechosłowackiej.

Po odejściu Wojciecha na rewir, zostałem sam bez przyjaciół. Spotkałem jednak z naszego transportu tarnowskiego Stefana Barana, pracował w Leitmeritz w komandzie Bahnhof przy załadunku i wyładunku wagonów. Pracując na stacji nieraz dopomógł mi przynosząc, z narażeniem siebie, zboża lub kaszy w kieszeniach. Jak w Gross-Rosen przepracowałem cały czas w komandzie cieśli, tak tu w okresie od lutego do końca kwietnia pracowałem w różnych grupach.

Początkowo pracowałem jako cieśla przy budowie wieży wyciągowej szybu wentylacyjnego. Zrezygnowałem jednak z tej pracy, ponieważ kapo Niemiec, nadzorujący tę budowę chodził z brzytwą i jeżeli ktoś mu się nie spodobał, to tą brzytwą podrzynał. Był jakiś patologicznie zboczony, nadzwyczaj niebezpieczny, zarżnął kilku ludzi, uciekłem więc z tego komanda, poszedłem do stolarni. Po kilku dniach pracy w stolarni, pewnego dnia przyszedł Blockführer i zabrał nas czterech do tunelu, do lory. Uciekłem z tego komanda i poszedłem pracować jako instalator wod.-kan. i tu miałem okazję zwiedzić cały zakład, ponieważ nie znając się na tej pracy brałem narzędzia i kawał rury i udawałem, że sprawdzam instalację wodną lub że mam naprawę jakiegoś złącza.

Do pewnego czasu to się udawało, ale niedługo poszedłem pracować do kuchni, obierać kartofle, za tę pracę dałem więźniowi, nazywano go Bambula, srebrną papierośnicę „zorganizowaną” w Gross-Rosen. I znowu Blockführer wyciąga nas, grupę muzułmanów, do Elsabe, do pchania lory z urobkiem z tunelu. Była to praca najcięższa, a ja uważałem, że już dość narobiłem się dla III Rzeszy i nie mam zamiaru w ostatnich dniach wojny wykończyć się przy lorze. Postanowiłem nie robić nic, żeby do końca przetrzymać, przecież to już nie może długo trwać.

W ciągu dnia widoczne były niejednokrotnie przeloty samolotów alianckich, które leciały olbrzymimi stadami. Bombardowanie Drezna słychać było w Leitmeritz. Rano, kiedy komanda wychodziły do pracy postanowiłem tak manipulować, żeby zostać w obozie, no i zostałem. Tym razem oszukałem sam siebie, po godzinie wyłapano w obozie takich samych jak ja, sporą grupę, i zaprowadzono na stację kolejową do rozładunku wagonów z węglem. Pospisywano nasze numery i od tego dnia codziennie chodziliśmy do rozładunku węgla. Jakkolwiek praca była ciężka, jednak mniej niebezpieczna jak w tunelach, no i nie mogli się zęcać nad nami, ponieważ pracowało tam dużo cywilnej ludności. Można było również czasem zahandlować. Za nowe buciki, które miałem z Gross-Rosen dostałem drewniaki, 1 kilogram chleba i 10 papierosów. Za spodnie cywilne przygotowane na wypadek ucieczki –

20 papierosów. Każdy co tylko mógł sprzedać, to usiłował zamienić na żywność czy papierosy, ponieważ w obozie nie było ani co jeść, ani co palić. Był to okres największego głodu w obozie. W dzień Wielkiej Niedzieli otrzymaliśmy na 20 więźniów jeden chleb wagi 1,20 kg, po 1 dkg kiełbasy końskiej i kostkę margaryny na 40, i to było całe wyżywienie, do tego dwa razy dziennie po pół litra kawy z żołądźmi.

Udało mi się w tym dniu kupić dwa kartofle surowe, więc na tarce, zrobionej z pudełka od pasty, przetarłem te kartofle i w menażce z litrem wody ugotowałem zupę. Była to wspaniała uczta. W takich warunkach obóz przetrwał do dnia 8 maja 1945 r.

Opisane w krótkich słowach własne przeżycia nie oddają przecież tego ogromu tragedii, jaka rozegrała się w tym obozie w ostatnich miesiącach wojny. Stłoczone kilka tysięcy ludzi, pozbawionych łączności z rodzinami, ponieważ już nawet listów nie było można pisać, codziennie szykanowanych w najrozmaitszy sposób, cierpiało głód. Ciężka praca, przy wyżywieniu nie zabezpieczającym utrzymania organizmu, nawet gdyby nie dokonywać żadnego wysiłku, brak warunków utrzymania higieny, wszystko to powodowało wielką śmiertelność. Ponieważ w obozie nie było krematorium, martwych wywożono poza obóz i tam grzebano.

Dręczyła każdego niepewność jutra, czy to już ostatni obóz czy jeszcze nie grozi nam dalsza ewakuacja. Przed ewakuacją każdy drżał, ponieważ przeżyliśmy jedną i droga tej ewakuacji została usłana trupami. Tak było z każdą ewakuacją, wszyscy którzy przybywali do obozu z ewakuacji wyglądali jak cienie ludzkie. Prowadzeni drogami w śniegu i błocie, bez spoczynku i bez żywności upadali po drodze, a każdy kto upadł był przez konwojentów z SS zastrzelony i pozostawiony na miejscu, nieliczni tylko przetrzymali trudy ewakuacji.

Liczyliśmy się również z tym, że ci co przez całą wojnę niszczyli tysiącami bezbronnych więźniów, będą się obawiali pozostawić żywe dowody swojej zbrodni, nie cofną się przed jeszcze jedną zbrodnią i będą chcieli zlikwidować wszystkich jeszcze żyjących więźniów.

Była brana pod uwagę taka ewentualność, że w ostatnim momencie wszyscy więźniowie zostaną wyprowadzeni do podziemnych korytarzy Elsabe, zostanie zamurowane i zasypane wejście i wszyscy się tam uduszą z braku powietrza. Taki był plan likwidacji obozu, który przenikał do więźniów. Ta potworna zbrodnia, zrodzona w umysłach ludzi, którzy za swoje rzemiosło obrali śmierć, budził niepokój wśród więźniów, znaliśmy naszych opiekunów i wiedzieliśmy do czego są zdolni. Do żadnego zbrojnego oporu obóz nie był przygotowany, było to środowisko nieskonsolidowane, ponieważ stały napływ więźniów, ciągłe przemieszczanie nie pozwalało na powstanie grup żytych, mogących podjąć zorganizowane działanie. Niemniej jednak wiadomość o planach likwidacji obozu była przekazywana więźniom

i zostało postanowione, że na wypadek wyprowadzania obozu do podziemnych korytarzy, więźniowie przeciwstawiają się i nie wejdą do wnętrza, ryzykując ucieczkę.

Nadchodziła wiosna, robiło się cieplej, co w dużej mierze pomagało wychudzonym organizmom znieść ciężkie warunki obozowe. Front zbliżał się coraz bardziej, prawie codziennie widzieliśmy przelatujące samoloty. Częste naloty nocne zmuszały do zaciemniania i wyłączenia prądu z ogrodzenia, mnożyły się więc ucieczki z obozu.

Władze obozowe z Lagerführerem Panicke usiłowały jeszcze stosować represje, ale panujący już w ewidencji obozowej bałagan nie pozwalał na ustalenie ilu uciekło i kto. Zmuszeni więc byli przechodzić nad tym do porządku dziennego. Ucieczki te miały szanse powodzenia, ponieważ okoliczna ludność czechosłowacka była przyjaźnie ustosunkowana do więźniów i udzielała pomocy.

Mimo że każdy zdrowo myślący człowiek zdawał sobie z tego sprawę, że Niemcy już wojnę przegrały, że to już tylko kwestia tygodni do całkowitej klęski, obozowa maszyna niszczenia ludzi pracowała pełną parą. Codziennie komanda stawały na zbiórkę i wychodziły do pracy. Do zakładów Elsabe w sztolniach na dwie zmiany, do budowy dróg, kanałów, oczyszczania z gruzów po bombardowaniach, do przeładunków wagonów, kopania rowów przeciwlotniczych, około 200 ludzi chodziło codziennie grzebać umarłych, ponieważ śmiertelność była masowa.

W tym czasie posiłki wydawano tylko dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Na rano kawę, a na kolację łącznie z obiadem zupełną kawałku chleba, w zależności od dostawy od 10 do 20 dkg z dodatkiem 1 dkg margaryny. Pod koniec kwietnia racje chleba zostały ograniczone do 8 dkg i 0,5 dkg margaryny.

Po południu otrzymywali posiłek ci, którzy szli na drugą zmianę na noc do pracy, a następnie otrzymywali ci, którzy zeszli z pracy. Tak samo było rano. Po spożyciu posiłku każdy szedł leżeć na łóżko, ponieważ nie miał sił na nic innego. Łóżka były w większości bez sienników i koców; nawet jeżeli ktoś miał koc, to długo nie mógł się nim cieszyć, ponieważ spanie na dwie zmiany uniemożliwiało zachowanie koca tylko dla siebie. Dlatego koce zmieniały stale właścicieli i trzeba ich było poszukiwać.

Na terenie obozu były kopce z ziemniakami, kopce te były ogrodzone gęsto drutem kolczastym. Panujący w obozie głód powodował to, że mimo przeszkód w postaci ogrodzenia z drutu, kopce te były przedmiotem marzeń każdego więźnia, a dla niektórych przedmiotem wypraw. Dla zabezpieczenia tych kopców, jak też i dla wzmocnienia swoich sił, władze obo-

zowe zaapelowały do więźniów Niemców, dając im wielkodusznie za lata niewoli mundury i broń do ręki, by w dalszym ciągu pomagali terroryzować pozostałe narodowości w obozie.

Wielu więźniów Niemców zgłosiło się do obrony rozpadającego się reżimu, zapomnieli, że to przecież ustrój faszystowski zgotował najpierw dla nich obozy, a potem dla ludności podbitych krajów. Przywdziali czarne mundury, otrzymali broń i dumnie pełnili służbę. Byli bardziej niebezpieczni niż sami ich mocodawcy. Przywykli mordować nawet jak nie mieli broni, a broń w ich rękach była bardziej niebezpieczna dla ich byłych współtowarzyszy niż pochodnia w składzie materiałów łatwopalnych. Często też robili użytek z tej broni i strzelali bez ostrzeżenia, jeżeli ktoś się zbliżył do ogrodzenia obozu, względnie kopców z ziemniakami. Tam też przy kopkach najczęściej zastrzelili więźniów różnych narodowości. Panujący głód przyćmiewał rozsądek, niejeden ryzykował, że może mu udać się „zorganizować” parę kartofli, i przypłacał to życiem.

Pod koniec lutego 1945 r. stan więźniów w obozie wynosił około 6 tysięcy, do końca marca jeszcze napływały transporty z różnych filii obozu Gross-Rosen, jak też i Flossenbürga. W okresie od lutego do końca kwietnia przez obóz przeszło około 8 tysięcy więźniów, natomiast obóz ten miał miejsce na zakwaterowanie maksymalnie 2 tysięcy ludzi.

Nie było więc w tych warunkach żadnych możliwości do utrzymania jakiegokolwiek higieny. Brak bielizny osobistej, brak wymiany ubrań, obuwia, trudny dostęp do wody powodował, że wielu nie prało swojej bielizny, nie myli się tygodniami, jedynie tyle co w pracy, jak mieli okazję i dostęp do wody; wszystko to stwarzało życie w obozie nie do wytrzymania.

W kwietniu usiłowano częściowo rozładować to zagęszczenie, część transportów została odesłana, kilka transportów po kilku dniach powróciło do obozu, ponieważ nie było już gdzie się ewakuować. Wtedy to zrodził się pomysł likwidacji obozu w sztolniach Elsabe. Zagrożenie przez aliantów, że w wypadku likwidacji obozu zostaną zlikwidowani jeńcy niemieccy uchroniło nas od śmierci.

7 maja 1945 r., w godzinach popołudniowych, został zarządzony apel całego obozu, zebrała się świta obozowa i podano nam do wiadomości, że z dniem 8 maja każdy otrzyma przepustkę i zostanie zwolniony, cały obóz zostanie rozpuszczony i każdy może wracać, gdzie mu się podoba.

8 maja rozdawano przepustki i wyprowadzano po 200 osób za Łabę, tam rozpuszczając.

[...]